



WITOLD MACKIEWICZ

Prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Dziennikarstwa Obywatelskiego

- Absolwent Zespołu Szkół rocznik 1968;
- pracownik Huty im. B. Bieruta (obecnie Huty Częstochowa)
- współzałożyciel Giełdy Towarowej w Częstochowie
- **społecznik**
 - wraz z przyjaciółmi uruchomił **Bożą Kuchnię** (z darów ofiarowanych przez ludzi dobrej woli Kuchnia przez prawie 3 lata przygotowywała i wydawała, przy ul. Miłej w Częstochowie, posiłki będącym w potrzebie)
 - przez ponad 9 lat pracował w **Banku Żywności**- organizacji pozarządowej niosącej pomoc najuboższym.

Wywiad z Panem Witoldem:

1. Jakie refleksje nasuwają się Panu, kiedy wspomina Pan lata spędzone w szkole średniej?

Postaram się odpowiedzieć na postawione pytania zgodnie z tym co wryło się w pamięć młodego człowieka z obecnej perspektywy.

Ad. 1 Lata spędzone w Technikum Hutniczym im. Walentego Obraniaka w Częstochowie – Rakowie, mogę ocenić z obecnej perspektywy, jako udany start w dorosłe życie. Regularnie spotykamy się z kolegami z „naszej klasy” i co pięć lat i każde takie spotkanie jest czasem radosnych wspomnień, refleksji i tym co się zdarza już coraz częściej, zadumy nad przemijaniem. Zmieniła się nazwa tej najmilej wspominatej, przez moich rówieśników szkoły, lecz nie zmienił się nasz do niej stosunek. Z wieloma nauczycielami mamy kontakt do dnia dzisiejszego, wielu już niestety pożegnaliśmy, ale atmosfery młodzieńczych wlotów, potknięć i nawet upadków zawsze, we wspomnieniach, będzie nam towarzyszyć jako szczególny etap naszego życia. W roku, w

którym rozpoczynałem naukę w TH uruchomiono nowy kierunek tj: aparatura kontrolno - pomiarowa i automatyka przemysłowo - mechaniczna. Obowiązywały wówczas egzaminy wstępne, a o jedno miejsce na ten wydział ubiegało się siedmiu kandydatów. Dla porównania na wydział mechaniczny pięciu, na walcownictwo i metalurgię po czterech. Dzień ogłoszenia wyników był dla mnie – i mówię to szczerze – najbardziej traumatycznym dniem w moim dotychczasowym życiu. Pragnienie nauki w tej szkole i na tym wydziale zderzała się z wysokim stopniem samooceny mojej niedoskonałości. Wyniki ogłaszał ówczesny dyrektor Pan Stefan Strojny. Wystraszona dziewczyna ze swoimi rodzicami, lub samotnie oczekiwała na werdykt jak na wyrok. Pan Dyrektor umiał stopniować napięcie. Wyczytał kilka nazwisk wśród których nie było mojego i obwieścił: Ci, których nazwiska wyczytałem mogą już iść do domu. Zawiesił na chwilę głos. Dla nas zgromadzonych przed schodami wejścia głównego, była to wieczność. Jeżeli są to ci, którzy odpadli to zwiększona szansa dla pozostałych. Jeżeli odwrotnie to dalej drżycie narody. Wtedy Pan Dyrektor w specyficznym dla niego (jak później mieliśmy się okazję niejednokrotnie przekonać) tonie, obwieścił: Mogą iść do domów i podziękować swoim rodzicom

i nauczycielom za bardzo dobre przygotowanie do egzaminu. Jesteście PRZYJĘCI! Pozostali, których teraz wyczytam będą za dwa dni mieli egzamin ustny, z przedmiotów, których ocena z egzaminu pisemnego była niższa niż pięć. Lista była długa. Na „mój” wydział na 40 miejsc do egzaminu ustnego przystąpiło jeszcze 120 kandydatów. Naukę w 1963 roku na wydziale aparatura kontrolno – hjbpomiarowa i automatyka przemysłowo – mechaniczna rozpoczęło 42 uczniów. W tym dwoje tzw. „wolnych słuchaczy”. Już wtedy uświadomiono nam, że zaczynamy drogę do dorosłego życia i to na własną odpowiedzialność. Na apelu (takie wtedy obowiązywały) Pan Dyrektor uświadomił nam, młodym, ciężko wystraszonemu czternastolatkom, że w tej szkole nikt nas na siłę nie będzie trzymał. Jest to szkoła, jak to często podkreślał, elitarna, do której uczęszczać i ją ukończyć to jest ogromny zaszczyt. Obowiązywało wówczas noszenie tarcz szkolnych i specjalnych, stylowych czapek w barwach szarzielonych. Każda szkoła średnia miała inne kolory i podobne fasony. Rok szkolny podzielony był na cztery okresy i po pierwszym półroczu „odpadło” sześciu uczniów. W tym jeden „wolny słuchacz”. Drugi, a właściwie druga, gdyż była to koleżanka, pozostała na normalnych warunkach. Różne były nasze drogi do upragnionej matury. Jedni bardzo pracowicie, inni „po łebkach” jeszcze inni falowo (wzloty i upadki), nie mniej jednak do matury dotrwało nas 27. Po latach, gdy wspominam ten najwspanialszy czas w moim życiu, czas wspaniałych relacji, bardziej lub mniej wyętej nauki, często przetacza się obraz tych, którzy nas wtedy kształtowali. Wpajając zarówno wiedzę, postawę moralną i patriotyczną jak i tak zdawałoby się prozaiczne ale jakże pragmatyczne umiejętności jak savoir vivre. A my wkraczaliśmy w dorosłość i nie obyło się też bez nieopacznego zrozumienia tej dorosłości. Szczególnie w używaniu powszechnie wtedy panującego przyzwolenia społecznego na spożywanie alkoholu. Zazgrzytało wówczas zarówno w moim życiu jak i całej naszej klasy, lecz dzięki mądrości i wyrozumiałości naszej wychowawczynie skończyło się to srogą burą i upamiętnieniem się na długie lata. Co do mnie, to miałem do szkoły nieco ponad 100 m i w związku

z tym do klasy „wpadałem” równo z dzwonkiem lub minuta po. Na lekcjach fizyki, które prowadził mile przez nas wspomniany profesor Kałuża, było to nagminne. W końcu profesor

nie wytrzymał i zapytał wprost. Skąd ty chłopcze dojeżdżasz, że się zawsze spóźniasz? Gdy powiedziałem, że mieszkam 100 m od szkoły to usłyszałem: no, teraz to ja ciebie przynajmniej rozumiem. I nigdy już nie wypominał mi mojego spóźnienia, a ja nie za bardzo chciałem już nadużywać jego wyrozumiałości. Gdy wspominał tych pedagogów, którzy uczestniczyli w procesie naszej edukacji robię to z rozrzewnieniem i wielką wdzięcznością. Nie zawsze wówczas w okresie trwania nauki potrafiliśmy docenić i zrozumieć ich wysiłek, dlatego tym bardziej po latach w każdym momencie, gdy tylko się spotykaliśmy staramy się wyrazić wdzięczność i szacunek dla nich. Jedno czego jestem absolutnie pewien, to fakt że przygotowano nas do dorosłego życia profesjonalnie, z dużą dozą wyrozumiałości dla naszych młodzieńczych fantazji. Zarówno pozyskana wiedza jak i umiejętność poszukiwania sposobów rozwiązywania trudnych problemów było dla nas dużo łatwiejsze.

2. Mógłby Pan opowiedzieć jakąś zabawną anegdotę z lat szkolnych, dotyczącą np. nauczycieli, kolegów, sytuacji?

Ad. 2 Co zaś dotyczy zabawnych zdarzeń to było ich takie mnóstwo, że mógłbym napisać o tym książkę. Generalnie byliśmy normalnymi, wesołymi dzieciakami, później już młodzieńcami, którzy nie tylko uczestniczyli w wesołych wydarzeniach, ale czasami je wręcz aranżowali. W okresie trzeciej i czwartej klasy przyjął się zwyczaj opowiadania dowcipów. Nie bardzo już pamiętam czy były one „okraszane” wulgaryzmami, jak to jest dzisiaj w zwyczaju, lecz chyba nie, gdyż generalnie używany przez nas język był językiem literackim, czystym, wolnym od wszelkiej naleciałości rynsztokowej. Pozostało mi to do dzisiaj i mimo, że w mojej pracy na różnych szczeblach zarządzania zdarzały się sytuacje, w których „mięso” latało obficie, to jednak ja zawsze protestowałem przeciwko zaśmiecaniu pięknej mowy ojczystej wulgaryzmami. Podobnie jest z moimi kolegami i koleżanką z Vd. Jednym z weselszych, zapamiętanych przeze mnie i pozostałych było bardzo sympatyczne „przywołanie” pamięci jednego z kolegów. Było to na lekcji matematyki, którą prowadził surowy, ale nadzwyczaj sprawiedliwy profesor Łącki. Gdy Krzysztof przez dłuższy czas nie mógł kontynuować rozwiązania zadania stojąc przy tablicy, Pan profesor podszedł do niego, delikatnie poklepał go po potylicy i odezwał się sloganem, który był często spotykany na buteleczkach z lekami: „przed użyciem należy wstrząsnąć”. I stał się cud. Krzysio z szybkością karabinu maszynowego dokończył rozwiązywać do dosyć trudne zadanie. Gdy zamasyście postawił tryumfalnie kropkę, cała klasa wybuchła gromkim śmiechem oraz owacjami, a profesor Łącki z satysfakcją (ale myślę, że również ze zdziwieniem) powiedział: A jednak skutkuje! Tym samym wywołał nową falę radości. Inna zabawna historyjka wydarzyła się na lekcji rysunku odręcznego, która odbyła się na „łonie natury”. W gorący dzień wybraliśmy się całą klasą na łąkę, by uwiecznić pejzaż z widokiem huty im. B. Bieruta w tle. Pod wiaduktem po którym jeździły kadzie z płynną surówką było wspaniałe miejsce do kąpieli. Ubłagaliśmy Panią profesor Bielecką o pozwolenie na krótką relaksacyjną kąpiel. Po 15 minutach wszyscy oprócz jednego kolegi wyszliśmy na brzeg. Mirek, pomimo próśb i gróźb nie chciał wyjść z wody. Jeden z kolegów wszedł do wody i po krótkiej rozmowie z Mirkiem wybuchnął

niepohamowanym śmiechem. Wszedł z wody i dyskretnie powiedział Pani profesor co było przyczyną takiego zachowania kolegi. Pani profesor nakazała wszystkim (zarówno chłopcom i dziewczynom) oddalić się na znaczną odległość, a wówczas Mirek szybko wyskoczył z wody i dołączył do grupy. Dowiedzieliśmy się, że powód takiego zachowanie był bardzo prozaiczny. otóż Mirkowi podczas skoku do wody pękła guma i spodenki spadły mu i popłynęły z prądem rzeki. Obecność wśród naszej grupy kilku koleżanek była tym hamulcem przed wyjściem na brzeg. Jak już wspominałem byliśmy wesołymi trochę „rozbrykanymi” młodzieńcami, których postawę życiową szkolni pedagodzy kształtowali w sposób skuteczny i w zasadzie bezbolesny.

3. Co mógłby Pan doradzić młodym ludziom zaczynającym swoje kariery, podejmującym decyzje związane z rozpoczęciem pracy?

Ad. 3. Tym, którzy po maturze podejmą trud dalszej nauki chciałbym życzyć wytrwałości i odwagi w rozwiązywaniu, najtrudniejszych nawet, problemów. By pamiętali o podstawowej zasadzie, że nie jest wstydem czegoś nie wiedzieć. Wstydem jest udawać, że to się wie, a proza życia obnaży naszą niedoskonałość wiedzy. Lepszą rzeczą jest nie wiedząc, zapytać. Ma to wymiar uniwersalny. W ciągu pierwszych lat mojej kariery zawodowej, wiele musiałem się uczyć praktycznego zastosowania wiedzy teoretycznej. Dlatego bardzo ważnym jest umiejętność pracy w zespole. Pamiętajcie o podstawowej zasadzie pracy kolektywnej. Broń swoich racji, gdy jesteś w stanie je udokumentować i nie upieraj się przy nich gdy sam masz wątpliwości. Pamiętajcie, że żaden szef nie lubi mądrzejszych od siebie, dlatego swoje racje sugeruj mu tak, żeby był przekonany o tym, że to wyszło od niego.. I stare powiedzonko o regulaminie przełożonego: Punkt 1: Przełożony ma zawsze rację. Punkt 2: W przypadku, gdy przełożony nie ma racji patrz punkt pierwszy. Niby śmieszne, ale jakże życiowe.

4. Jak radzi sobie Pan ze stresem?

Ad. 4. Aby odpowiedzieć na to pytanie należy zadać sobie pytanie – każdy indywidualnie – w jakich sytuacjach podlegamy stresowi. Wyznaczyć sobie poziomy reakcji na te sytuacje i pracować nad ich zminimalizowaniem. Podstawową zasadą, którą stosuję w życiu, to zadaję sobie pytanie: Co się stanie jeżeli przez tą sytuację nie przebrnę. I nie dopuścić, żeby złe myśli zawładnęły moją przestrzeń. Ktoś mądry powiedział mi kiedyś, że złe myśli są jak czarne wrony, którym nie można zabronić by latały. Nie możemy jednak dopuścić, żeby zbudowały sobie gniazdo w naszych głowach, bo wtedy zapaskudzą nam cały mózg. W moim przypadku również kontakt z ludźmi, których mogę wesprzeć w rozwiązywaniu ich życiowych problemów, daje mi poczucie siły do walki z wszelkimi zagrożeniami wywołującymi stres i przygnębienie. Zasada, że lepszą rzeczą jest dawać pomaga mi również w rozwiązywaniu sytuacji stresogennych.